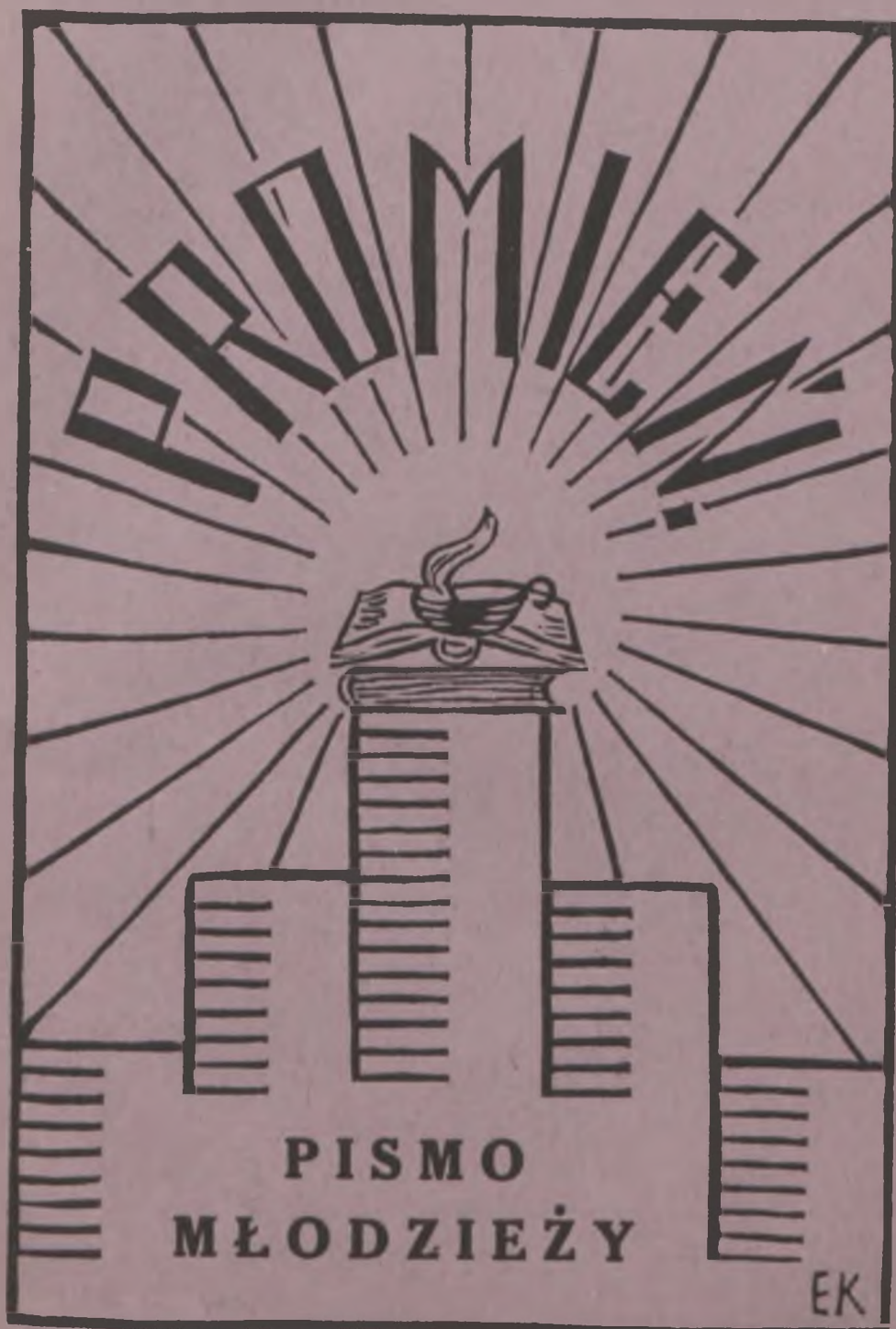


Pismo Młodzieży Gimn. T. T. Z-tu w Ostrowie Wlkp.



ROK IX.

GRUDZIEŃ 1933 R.

NR. 4.

 Silniejszy jestem,

Promień

 cięższą podajcie
mi zbroję.

Miesięcznik Młodzieży Gimnazjalnej w Ostrowie Wlkp.

nakładem T. T. Z-u

Kierow. wydawnictwa: St. Hoffmann	Redaktor odpowiedzialny: Prof. Stanisław Komęza	Redaktor naczelny: Józef Rajski
--------------------------------------	--	------------------------------------

Cena 30 groszy

Gwiazdka.

Wśród szarego codziennego życia, w pustce i chłodzie, który nas zewsząd otacza, zjawiają się, od czasu do czasu, radośniejsze momenty i cieplejsze chwile, w których człowiek stara się zapomnieć i zapomina o wszystkich kłopotach i przykrościach, żyje tylko tą jedną chwilą i czuje się zadowolonym, rad, że może wznieść się ponad ten marazm i gnuśność normalnego stanu życiowego. I z tego odczuwanego, w takich chwilach, zadowolenia płynie ta dziwna, kojąca moc, która sprawia, że człowiek takich chwil nie zapomina nigdy. Do takich radosnych momentów czy okresów zaliczamy okres świąt Bożego Narodzenia, czyli Gwiazdkę.

Gdy na niebie zabłyśnie pierwsza gwiazdka, zasiadają do wigilijnego stołu ludzie, ale inni, niż ci codzienni z kulą u nogi, jacyś weseli, radośni, pogodni. A zasiadają do stołu wszyscy bez względu na wiek, stanowisko i urodzenie. Na wsi więc obok gospodarza zobaczymy i parobka, a w mieście wszystkich domowników. Na wstępie dzielą się opłatkiem. Podchodzą więc kolejno do siebie członkowie domu i składają sobie wzajemne życzenia pomyślności i błogosławieństwa Bożego, łamiąc się opłatkiem. To tradycyjne łamanie opłatkiem i ta wspólna wieczerza, ma być symbolem miłości braterskiej i równości.

Następnie w poważnym lub w swobodnym nastroju spożywa się wilję. Na wystanym sianem stole zjawiają się jedne po drugich półmiski z potrawami i przysmakami o charakterze polskim, a przekazanymi przez tradycję. Z kolei przechodzą domownicy pod „Boże drzewko” — choinkę, gdzie wzajemnie obdarowują się podarkami, mniej lub więcej cennymi. Zjawi się czasem i gwiazdka (którego coraz mniej już się spotyka) by upomnieć i podarować niegrzeczne dzieci, a dobre obdarować.

A później śpiewa się kolędy. Dowiadujemy się z nich jak to w Betlejem narodził się Jezus, jak się Nim Matka Jego opiekowała wraz ze Świętym Józefem, jak to pokłonili Mu się najpierw pastuszkowie, a potem dopiero królowie. A wszystkie nasze kolędy mają melodje albo mazurów, mazurków, kujawiaków, krakowiaków, albo też majestatycznych polonezów, a nawet menuetów. W każdym bądź razie bije z nich nuta polska czy to ludowa, czy też ujęta w przepisy i klamry muzyki artystycznej. Można w kolędach wyczuć duszę polską czy tę z przed pięciuset laty, czy też obecną, bo dusza ludu polskiego została tą samą, zawsze rozśpiewana, roz tęskniona, czasem nawet rozhukana, a często rozochocona.

Takie motywy, wątki i tło mają nasze kolędy polskie. Zaczynamy od skocznej, nogi podrywającej „Przybieżeli do Betlejem pasterze”, po przez cichuteńką „Wśród nocnej ciszy” przechodzimy do ognistej i gromkiej „Bóg się rodzi”, by skończyć na melancholijnej a tak uroczej „Przy onej gorze!!... ”

Przyglądając się bliżej naszemu świętom kościelnemu i narodowemu, spostrzegamy, że niema święta podobnego Wigilji Bożego Narodzenia, o tak czystym charakterze polskim. Cała Wigilja ma tło ludowe poczynając od siana, którym jest stół wysłany i snopów zboża zdobiących cztery kąty, aż do potraw i pieśni czyli kolęd.

A i nastrój wieczoru wigilijnego jest tak swojski, ciepły bliski i odpowiadający nam wszystkim, że chyba nigdy nigdzie lepiej się nie czujemy, jak w dniu wigilijnym, w ścisłym kółku rodzinnym. Z ogniska rodzinnego, w ów właśnie wieczór wigilijny, szczególnie promieniuje i bije jakaś siła, o kojącej mocy, ciepło, topiące najzimniejsze głązy obojętności i snuje się nić, wiążąca wszystkich w jedną ogromną braterską całość. Wigilja jest więc tą uczcią duchową, do której zasiadają tułacze — ludzie, by zaczerpnąć z tego wielkiego ogniska siły i mocy na dalszą, całoroczną tułaczkę, na codzienny trud... znój... i bój.

Redaktor naczelny.

Popierajcie „Promień”.

Prahistorja Gimnazjalnego Koła Sportowego „Venetia”.

Ćwierć wieku upływa od założenia „Venetii” ostrowskiej! Dwadzieścia pięć lat — to szmat czasu, a jednak pozornie za krótki to okres, by zwrot „prahistorja” nie wydawał się sztucznym, pretensjonalnym. Wszak pojęcie „prahistorja” jest niemal równoznaczne z legendą, gdzieś w mrokach zamierzchłej przeszłości powstała, wszak opiera się na wykopaliskach, muzeach, kurhanach i mniejszej lub większej wyobraźni historyków. W danym wypadku do takich źródeł i materiałów sięgać nie potrzeba.

Twórcy „Venetii” jeszcze przeważnie żyją i pamiętają żywo i dokładnie ów „górnny i chmurny” pierwszy okres istnienia „Jubilatki”. Istnieją także dokumenty (coprawda nieliczne) z owych lat odległych.

Dlaczego więc mówić o prahistorji?

Dla nas starszych owe „dawne” lata wiążą się z obecnymi w nierozzerwalną całość, natomiast dla Was, Młodych, ta łączność jest tylko formalna. De facto dla Was ów okres przedwojenny jest czemś obcym, niezrozumiałym, legendarnym. Dlatego można mówić o prahistorji.

Ów okres „prahistoryczny” mam opisać oddzielnie. Chciałbym przedstawić go możliwie plastycznie (nie dla rozrzewnienia nas starszych), lecz dla wykazania Wam, Młodym, jak bardzo różnią się warunki, w których myśmy wzrastali i tworzyli „Venetię”, od warunków, w których Wy wzrastacie i w których nasza „Jubilatka” obchodzi swój srebrny jubileusz.

Nie czas i miejsce po temu, by wyczerpująco opisywać ówczesne stosunki. Nie wątpię, że Wasi opiekunowie i nauczyciele zaznajomili Was z nimi, więc przypuszczam, że rozumiecie gehennę ówczesnego pokolenia polskiego, że docenicie napięcie jego wzlotów i upadków, jego tęsknot i szamotań. Byliśmy parjasami, żyjącymi w upokorzeniu, a śniącymi jedynie o wolności i potędze. Wy wzrastacie pod mocarnymi skrzydłami Orła Białego, jesteście żrenicą i nadzieją wolnej, coraz potężniejszej Polski.

Dla Was klub sportowy jest tylko klubem sportowym, dostarczycielem rozrywki, zdrowia i siły, dla nas był czemś więcej, był „szczeblem do sławy grodu”, do wyzwolenia. Krzepiliśmy w nim serca i ramiona, by nie zawiodły w walce o wolność, gdyby zabrział „złoty róg”.

Nie chciałbym tworzyć legend i w szaty romantyczno-niepodległościowe oblekać całą „Pra-Venetię”. Nie wszyscy,

k którzy ją tworzyli, mieli tak wzniosłe i odległe cele na oku. Część „Pra-Venecjan” niewątpliwie myślała tylko o rozrywce i wyładowaniu młodzieńczej energii. Ale po pewnym czasie większość członków „Venetii” stanowili wychowankowie T. T. Z., dla których walka o wolność była szczytem marzeń i pragnień. Chcieli być silni i zręczni, chcieli zwyciężać, chcieli pokazać, że Polakowi nie łatwo wydołać. Zdawali sobie sprawę z tego, że stanowią wśród wielkopolskiej młodzieży gimnazjalnej jedyną komórkę odrodzenia fizycznego, więc wkładali w jej rozwój całą duszę. Starsi koledzy, kierownicy T. T. Z., początkowo zaskoczeni utworzeniem „Venetii”, założonej przez uczniów klas średnich, niebawem zrozumieli jej ważkie znaczenie i odąd popierali jej rozwój, dbając by zachowała swój polski charakter i nie schodziła z drogi, wytkniętej przez T. T. Z.

Dzięki temu ów G. F. C. „Venetia” pozostał aż do rozwiązania unikatem na obszarze b. zaboru pruskiego, mianowicie jedynym uczniowskim klubem sportowym, który wbrew pozorom do końca pozostał czysto polskim.

Obecnie G. K. S. „Venetia” nie jest już osobliwością, albowiem uczniowskich klubów wzgl. kół sportowych jest w Polsce bardzo dużo. Różni się od nich tylko tem, że ma starą i piękną tradycję.

Dlatego można i trzeba mówić o prahistorji „Venetii”

Dzisiejszy „jubilat” powstał na wiosnę 1908 roku, należy przeto do najstarszych klubów sportowych w Polsce, a na ziemiach b. zaboru pruskiego jest bezwzględnie najstarszym polskim klubem sportowym (pomijając znacznie starsze gniazda „Sokoła”). To też najwyższa magistratura sportu polskiego, Związek Polskich Związków Sportowych, z racji swego dziesięciolecia nadała w 1930 r. także „Venetii” dyplom honorowy.

Swego powstanie zawdzięcza „Venetia” śp. Konarskiemu Wacławowi, który jako sekundaner przeniósł się z Kępna do Ostrowa i już po krótkim czasie potrafił wzbudzić zainteresowanie dla nieznanego poprzednio w Ostrowie futbolu. Grunt był przygotowany o tyle, że już od lat wśród nas popularne były (prócz „indjanerek”) palant i gra w piłkę nożną, polegająca na możliwie dalekiem jej podbijaniu - bez prawa prowadzenia jej czy biegania z nią. Gra ta, w której mogło brać udział choćby 100 graczy równocześnie, była piekielnie nudna w porównaniu z prawdziwym footballeni. Nie dziw, że rychło poszła w zapomnienie. Entuzjazm dla nowej gry był tak wielki, że niebawem postanowiono założyć specjalny klub — na wzór niemieckich — uczniowskich klubów w Krotoszynie i Kępnie. Ówczesny dyrektor gim-

nazjum ostrowskiego, Klinke, nie podejrzewając, że „Venetia“ będzie całkowicie opanowana przez Polaków, zatwierdził bez wahania jej statut, barwy i nazwę.

Barwy uzgodniliśmy szybko. Nie mogąc wybrać barw narodowych, wybraliśmy kombinację naturalną (kościelną): żółto - niebieskie koszule w podłużne pasy i granatowe spodni z żółtymi wypustkami. Pamiętam z jaką niecierpliwością oczekiwaliśmy nadejścia tych kostymów i innych przyborów z Berlina i z jaką dumą, a równocześnie z jakim zaangażowaniem wystąpiliśmy w nich po raz pierwszy na boisku. Bramki, pomalowane na żółto niebieski kolor, dostarczyli własnym sumptem bracia Ciężyńscy z Taczanowa, którzy byli nietylko filarami „Pra-Venetii“, ale także jedynymi jej mecenasami. Piłki kupowało się ze składek członkowskich (gimnazjum ufundowało przez cały czas istnienia G. F. C. „Venetia“ bodaj dwie piłki). Wszystko inne (przybory, kostjummy, buty, podróże) opłacaliśmy z własnej, przeważnie pustej kieszeni.

Jak powstała nazwa „Venetia“ trudno z całą ścisłością ustalić. Pewnem jest, że wybraliśmy ją jako zło mniejsze, gdy nazwy „Polonia“, „Pogoń“ czy „Orzeł“ w ówczesnych warunkach nie wchodziły w rachubę. Dla wielu nazwa „Venetia“ była przypadkową, bezbarwną, dla innych między innymi i dla mnie, była dlatego stosowaną, że w podostrowskiej Wenecji, u „papy“ Wieganda, członkowie T. T. Z. zbierali się potajemnie ex re różnych uroczystości narodowych lub na t. zw. „łidułki“. Dlatego nazwa „Venetia“ miała ukryte znaczenie, była niejako symboliczna. Pisownia oczywiście musiała być łacińska, jak niemiecka z konieczności musiała być nazwa klubu „Gymnasial Fussball Club“.

Statut sklecono na kolanie. Polepszano go kilkakrotnie przy minimalnem zainteresowaniu członków.

Pierwszym prezesem obraliśmy ówczesnego prymanera Włodzimierza Graffsteina, obecnego lekarza w Poznaniu. Był on zresztą nietylko prezesem, ale także podporą naszej obrony, a znalazł się w niej dlatego, że potrafił najdalej wybijać piłkę i że był bardzo silny i ciężki. Po kilku miesiącach na fotelu prezydalnym zastąpił go sekundaner Brykczyński, najgrubszy członek „Venetii“ i wogóle nacięższa waga wśród czterystu uczniów gimnazjum ostrowskiego. Prezydował niedługo. Zastąpił go śp. Konarski, właściwy twórca „Venetii“, trener i środkowy napastnik jej pierwszej drużyny.

Poza nim właściwie nikt nie posiadał taktycznych i technicznych tajników futbolu. Grano „na hurra“, nadrabiając braki ambicją, kondycją i szybkością. Już w kilka

miesiący po zorganizowaniu klubu rozegrano pierwszy mecz z „Ostrowoer Fussball Club“, jedynym naówczas osiągalnym przeciwnikiem. Mecz ten skończył się sensacyjnie remisem (1:1). Nie zapomnę nigdy, jak wolne na tym meczu bito z kapelusza i jak nieraz czterech, pięciu graczy pod rząd nie potrafiło trafić w złośliwie uciekającą piłkę. Przeciwnicy byli godni siebie. Ta pierwsza reprezentacja „Venetii“ składała się z następujących mistrzów:

bramkarz — Wegner

obrońcy — Graffstein i Górecki

pomocnicy — Ertel i Chylewski, Żórawski

napastnicy — Scheitza, Długaszewski, Konarski,

Kozłowski, Ciążyński i. Nie było wśród nich ani jednego Niemca. Oczywiście: wszak na 50 członków było zaledwie dwóch pocziwych Żydów (Riesensfeld i Callomon) i jeden Niemiec (Ressel). Również cały zarząd składał się (rzecz jasna) z Polaków. Jedynie stanowisko sekretarza powierzono Żydowi, Riesensfeldowi, by zachować pozory, że klub jest dostępny dla wszystkich uczniów gimnazjum. Niemcy na szczęście nie pchali się do „Venetii“, widząc, że tak czy owak, byłiby w mniejszości. W dwa lata później założyli niemiecki „Gymnasial Turn Verein“. Od tej chwili „Venetia“ stała się czysto polską organizacją, mimo że obrady i protokoły nadal były prowadzone w języku niemieckim. Nie mogło być inaczej: język polski był wówczas przeklęty. Nie dziw, że w takich warunkach zwoływano zebrania, które odbywać się miały co miesiąc, rzadko i nieregularnie i że frekwencja członków na tych zebraniach była przeważnie mała (20-30 obecnych na 50-70 członków). Zebrania te trwały zresztą przeważnie bardzo krótko, przede wszystkim dlatego, że większości obecnych trudno było wypowiadać się swobodnie w języku niemieckim.

Tym większy ruch panował na boisku. Obowiązkowe treningi odbywały się dwa razy w tygodniu. Sporo zapaleńców ćwiczyło jednak znacznie częściej. Pamiętam, jaką wściekłość wywołało w nas pojawienie się na naszym majdanie oddziałów wojskowych sąsiadującego 155. pułku piechoty i z jaką pasją przeszkadzaliśmy ich ćwiczeniom.

Sprawa nasza była początkowo oczywiście bardzo niecelowa i jednostronna. Kopano tylko piłkę, do jednej bramki lub do dwóch bramek, zależnie od ilości obecnych. Zasad racjonalnego treningu nikt z nas nie znał, a na pomoc z zewnątrz nie mogliśmy liczyć. Nasz protektor, prof. Dorn, był tylko de nomine protektorem. Mimo to wyniki naszej I. drużyny były nie najgorsze już w dwóch pierwszych latach istnienia „Venetii“ z groźną drużyną gimnazjalną „Preussen“, z Krotoszyna 0:2 i 0:0, z „Ostrowoer Fussball Klub“

1:0, 0:4 i 4:1, z kępińską, „Dia-ną” 0:4, 1:1 i 5:0: W „Preussen” i „Diana” grało kilku Polaków. Z drużynami czysto polskimi nie można było grać, bo ich wówczas jeszcze nie było. Naostrzejsza rywalizacja istniała między „Venetią” a O. F. K., który stale zasilał swą drużynę zamiejscowymi graczami, należącymi do ostrowskich formacyj wojskowych. Zwłaszcza gracze berlińscy byli dla nas pod względem techniki wzorami. Jeżeli mimo wszystko, często wygrywaaliśmy, to jedynie dlatego, że nasze braki techniczne wyrównywała świetna kondycja i bojowość oraz że panował doskonały „esprit de corps”. Skład drużyny w międzyczasie się zmienił, albowiem w 1909 roku przeważnie występowała w następującem zestawieniu: bramkarz Górecki I, obrońcy: Morawski, Jankowski lub Długaszewski, pomocnicy: Ertel, Chylewski, Żórawski lub Długaszewski, napastnicy Scheitza, Dadaczyński, Konarski, Ciążyński II. i Górecki II. Nie była to silna drużyna. Mimo zasilenia przez graczy krotoszyńskich przegrała z Oleśnicą 0:4. Niemniej ogólny bilans spotkań był nienajgorszy: 3 zwycięstwa, 3 remis, 4 przegrane. Stosunek bramek wynosił 12:17. Prezesurę objął w 1909 r. p. Konarskim, który został kapitanem sportowym, Mikołajczyk.

Praca społeczna - społecznik.

Odpowiedź na artykuł kol. Rajskiego p. t.: O typ społecznika.

Chcąc mówić o pracy społecznej na łamach „Promienia”, dajmy jej na samym początku ścisłe granice, nazywając ją pracą społeczną na terenie naszego gimnazjum. Spodziewam się, że i Kolega ma tylko to pole na myśli, gdyż trudno nam mówić coś o pracy społecznej na innych terenach, których prawie wcale nie znamy. Zanim jeszcze przystąpię do rozpatrywania poszczególnych postulatów, wysuniętych przez Kolegę, pozwolę sobie zmienić nieco porządek rozumowań Kolegi. Mianowicie przestawię kwestję idealnego społecznika przed podziałem na rodzaje społeczników gimnazjalnych, a reszta może pozostać bez zmiany. Sądzę, że tak będzie lepiej. Po tej dygresji przystępuję do tematu.

Przeczytawszy artykuł Kolegi ma się wrażenie, że praca społeczna to wielka i niedostępna rzecz, o której zrealizowaniu zwykli śmiertelnicy nawet zamarzyć nie mają prawa. Tak przynajmniej wynika z pierwszych słów Kolegi, że „praca społeczna wymaga od swego pracownika zaparcia się siebie, bezwzględного przekreślenia własnego ja i t. d. Co do zaparcia się, to zgoda. Ale co do przekreślenia

własnego ja, to stanowczo nie! Mojem zdaniem, społecznik nie może własnego ja przekreślać, bo wtedy stałby się biernym i byłby z konieczności nieużytecznym. Ostatecznie, gdyby każdy tak przekreślił własne ja, to ktoby nadawał ton pracy? Rozumiem, że społecznik musi się podporządkować wymaganiom i dobru ogółu, lecz musi również coś nowego i pożytecznego do społeczeństwa wnieść. Z tego wynika, że żaden społecznik nie może bezwzględnie i kategorycznie wyrzec się własnych poglądów i zamiarów. Może je pod wpływem społeczeństwa zmienić lub zmodyfikować, ale nie wolno mu ich utracić. Taka utrata równałaby się postradaniu jasnego i zdrowego sądu o wielkich przejawach życia społecznego.

W dalszym ciągu słusznie Kolega podkreślił konieczność niemieszania spraw osobistych do pracy społecznej. W tym wypadku należy nam mieć zawsze to na uwadze i dobrze rozróżniać co jest sprawą prywatną, a co publiczną, gdyż praca społeczna, do której wkradną się jakieś porachunki osobiste, mija się z celem, a przeradza się w walkę dwóch jednostek albo dwóch grup i to w walkę zupełnie niepotrzebną i bezowocną. W ścisłym kontakcie z powyższym pozostaje ambicja poszczególniej jednostki. W tej kwestii Kolega zajmuje stanowisko jednostronne, gdyż stanowczo ją potępia. Może to tylko przez zapomnienie? W każdym razie ja, godząc się na to pierwsze stanowisko Kolegi, wyłaniam drugą możliwość. Mojem zdaniem, ambicja jednostki w pracy społecznej jest bardzo doniosłym problemem. W zależności bowiem od jakości tej ambicji leży jakość i impulsywność wysiłków ogółu. Ambicja dodatnia jest w pracy społecznej jakby sprężyną albo siłą popędową, która wszystko pcha. Z niej wypływa zrozumienie konieczności pracy w gromadzie, z niej wypływa obowiązkowość i sumiennosc, od niej zależy istnienie pracy społecznej.

Dalej Kolega wprowadza jakby próbę definicji pracy społecznej. Według mnie jest to praca w gromadzie dla gromady, wspólna praca jednostek dla społeczeństwa. Taka wspólność pracy i wysiłków może istnieć w różnych dziedzinach. Zawsze jednak jest ona trudną i wymaga od danej jednostki znacznego zaparcia siebie, hartu ducha, niezłomności i odwagi cywilnej, roztropności i szybkiej orientacji, a przede wszystkim „końskiej” pracowitości. Tym warunkom winien odpowiadać bodaj że idealny typ społecznika. Przeciętny zaś może zadowolić się przeciętnością w powyższych zaletach, z czego wynika, że praca to znowu nie tak niedostępna rzecz, jak to opisuje Kolega. W artykule swym Kolega zbyt wyolbrzymia owe „warunki jakie trzebaby stawić społecznikowi.” Największą zaś przesadą jest zakoń-

czenie, w którym Kolega napisał, że praca społeczna wymaga zupełnego zobojętnienia na wszystko, co nie ma z nią nic wspólnego. Tu stanowczo z Kolegą się nie zgodzę. Właśnie winniśmy unikać tej przesady, zwłaszcza u nas w gimnazjum, aby dobry społecznik mógł być również i dobrym uczniem. Zyskujemy bowiem wtedy wielokrotnie na opinii, na długotrwałości i intensywności pracy. Tu musimy stanowczo pamiętać, że nie dlatego chodzimy do gimnazjum, aby pracować społecznie, lecz, aby uczyć się, a praca społeczna ma być tylko uzupełnieniem nauki, nigdy zaś przeciwnie.

O ile zaś chodzi jeszcze o sam idealny typ społecznika, to jestem przekonany na podstawie obserwacji i własnej praktyki, że przy zrozumieniu konieczności takowej, przy pewnej dozie dobrej woli i przy tych zaletach, które wyżej wymieniłem, praca społeczna powinna i może się potoczyć nie tak źle i tragicznie, jak to przedstawił Kolega. Owszem, są czasami różne przypadki i przeszkody, które trzeba brać wstępny bojem, lecz czy dziś mamy jakie dziedziny życia, gdzieby wszystko postępowało dobrze i zgodnie z naszymi zamysłami?!

Następnie Kolega scharakteryzował trzy rodzaje społeczników. Charakterystyki były naogół trafne i wyjęte z życia, rozumie się, z temi małemi zmianami, które ja powyżej wprowadziłem. Może trochę tylko Kolega przeholował przy wprowadzeniu określenia jakości pracy społecznej na ławie szkolnej. Mojem zdaniem dobrzeby było i to, żeby przynajmniej wszyscy przychodzili na zebrania, zabierali głos w dyskusji, płacili składki, uchwalali wnioski. Realizacja zaś ich mógłby się narazie zająć zarząd, naturalnie przy możliwej pomocy wszystkich członków, co dałoby się znowu zrobić, gdyby wszyscy wykonywali te pierwsze swe obowiązki. Rozważając to, musimy mieć zawsze na uwadze, że w gimnazjum dopiero kształtują się społecznicy, nie można więc od nich żądać doskonałości. Natomiast wprowadziłbym tutaj jeszcze przed podziałem na rodzaje społeczników gimnazjalnych badanie pobudek pracy społecznej, skutkiem czego dostalibyśmy może niebardzo piękny typ nowego społecznika z wyrachowania. Ale to sprawa długa, a nawet przykra. Pomówimy może o niej innym razem.

Pod koniec Kolega wyraził zdziwienie z powodu tego, że mimo wdzięcznego pola pracy społecznej, oraz jej wartości kształcącej wielu jest w niej niezaangażowanych. Odpowiedź Kolega daje jedną: Brak zrozumienia konieczności pracy w gromadzie. O ile chodzi o samo pytanie, to jabym jeszcze rozszerzył, dodając: Dlaczego tylu Kolegów, należąc

do jakichś organizacji, nie pracuje w nich intensywnie, a pracują tylko nieliczne jednostki?

Na jedno i na drugie pytanie w kilku słowach odpowiedzieć nie można. Powody są liczne, lecz to już temat do nowej rozprawki i dla innego Kolegi!

Franciszek Zieliński.

„Historja muzyki polskiej“.

W wiekach średnich duch religijny zawładnął muzyką i jej twórczość przyciągnął na swoją stronę. Lud jednak zawsze okazywał potrzebę wyrażania swych uczuć związanych też z życiem pozakościelnem.

Objawem tego były prastare pieśni burdów, znanych w Szkocji, Irlandji i Galji, skaldów w Skandynawji oraz lirników i gęślarzy słowiańskich. Począwszy od XI wieku Prowancja, północna Szampanja, Flandrja i Brabancja stały się środowiskiem pieśni trubadurów i trumerów. W Niemczech podobne pieśniarstwo uprawiane było przez minnesengerów i majstersingerów.

Rozpowszechnienie gry na lutni, tak zwane w XVI wieku, i rozwój muzyki instrumentalnej wpływały bardzo na wyrabianie się typu pieśni z towarzyszeniem jakiegoś instrumentu. Liczne kompozycje wokalne-poliфонiczne wykonywano w ten sposób, że głos główny (cantus firmus) śpiewano, inne zaś głosy grano na lutni lub klawicymbale. Głosem głównym był sopran.

W roku 1509 Petrucci wydał zbiór frotol (zwykłych piosenek włoskich) w układzie na sopran z towarzyszeniem lutni. Krótki dźwięk lutni nie nadawał się do utrzymywania dłuższych tonów melodji, to też wprowadzono różne ozdobniki. Przeto akordy, towarzyszące melodji, zmieniły zasadniczo podstawę konstrukcyjną muzyki. W XVII wieku powstała nowa epoka — muzyki harmonicznnej, czyli monodji, w niej melodyjność jednego głosu występuje na plan pierwszy, inne zaś głosy tworzą podłoże dopełniające harmonję.

W nowej tej epoce powstają wielkiej formy kompozycji. Pojawiają się kościelne dzieła chóralne z towarzyszeniem organu lub zespołu instrumentalnego. Muzyka wokalna w połączeniu z akcją dramatyczną i z tekstem treści świeckiej, ilustrowana za pomocą orkiestry, wytwarza formę opery, w połączeniu zaś z tekstem dramatycznym treści religijnej i instrumentacją — formę oratorjum i kantaty. Same wreszcie

instrumenty muzyczne, doprowadzone do świetności technicznej i kolorystycznej mogą wyrażać uczucia najgłębsze i dają początek rozwoju muzyki niezależnej od słowa — absolutnej.

Głównym hasłem nowej epoki było odrodzenie się muzyki w duchu tragedji greckiej czyli powstanie pierwszej opery. Dzieła tego dokonała nie jednostka, lecz pewne grono osób, miłośników muzyki we Florencji u Bardiego i Corsiego. Bywali tam, między innymi: poeta Ottavio Rinuccini i muzycy — Jakób Peri, Juljusz Caccini oraz Emil del Laverdi. Celem tego kółka było recytowanie śpiewnej deklamacji na podłożu instrumentalnem. Nowy ten rodzaj muzyki nazwano *stile rappresentativo* (styl zastosowany do sceny) dziełom zaś nadali inicjatorowie tytuł *dramma per musica* (dramat muzyczny).

Nowa muzyka odniosła pierwszy sukces w r. 1594, gdy wystawiono w prywatnym teatrze Corsiego operę „Dafne” ze słowami Rinucciniego i z muzyką Jakóba Peri. W roku 1600 wystawiono drugą operę tegoż kompozytora „Eurydice”. Potem pojawia się Klaudjusz Monteverde, który pierwszy wprowadził przygrywkę instrumentalną przed operą — „toccata” i przygrywki zakończone i przegradzające ustępy wokalne — „ritornelle” (refreny). Dalszy rozwój opery włoskiej reprezentują: Franciszek Cavalli, Giovanni Legrenzi i Marek Cesti.

Na czele szkoły neapolitańskiej stali: Aleksander Scarlatti, Franciszek Durante i inni.

We Francji pierwszym kompozytorem był Jan Babtysta Lully, Andrzej Campra i inni.

W Angli najwybitniejszym kompozytorem był Henryk Purcell. W Niemczech: Reinhard Keiser, Jan Mattheson i inni.

Przyglądaliśmy się rozwojowi stylu monodycznego, opery oratorjum poza granicami Polski. Teraz przyglądnijmy się rozwojowi muzyki w Polsce. W Polsce muzyka dramatyczna nie zakorzeniła się prędko. W muzyce jednak kościelnej nowy system pisania dzieł chóralnych z towarzyszeniem instrumentów, jak również świeże formy kantaty kościelnej i koncertu, pojawiły się jednocześnie z takimże prądem, płynącym na Zachodzie.

Największym mistrzem na niwie muzyki kościelnej był Mikołaj Zieleński. Był on organistą i kapelmistrzem katedry gnieźnieńskiej. Przez pewien czas mieszkał w Wenecji, gdzie w roku 1611 wydał wielkie dzieło „Offertoria totius anni” i część drugą tego dzieła „Communiones totius anni”. Pier-

wsza część składa się z 56 utworów a w tej liczbie 44 offer-torjów. — Zieleński nie tworzył „wypracowań“ muzycznych, lecz komponował pod wpływem swej bujnej fantazji i szczer-go uczucia religijnego, łącząc je ze znakomitą umiejętnością władania formą i środkami polifonii, kolorystyki i dynamiki.

Gdy za panowania Zygmunta III rezydencja królewska przeniesioną została do Warszawy, w mieście tem stworzyło się drugie środowisko muzyczne obok Krakowa. Na dworze królewskim znajdowały się świetne orkiestry, z których pierw-szem kapelmistrzem pierwszej był Krzysztof Klabon. Później Łukasz Marenzio, i Asprilio Pacelli.

Na niwie muzyki kościelnej wyróżnili się Wincenty Lil-jusz, Andrzej Hakenberger oraz Andrzej Staniczewski. Na niwie muzyki klasztornej wyróżnił się uczony muzyk polski, Franciszkanin, Andrzej Chyliński.

Wielką rolę dla muzyki polskiej odegrał Włoch Marek Scacchi, który napisał między innymi wielką mszę na 12 gło-sów: p. t. „Missa omnium tonorum pro electione Regis Polo-niae Casimiri“. Przedstawicielami muzyki kościelnej po Zie-leńskim byli: ks. Bartłomiej Pękiel oraz Marcin z Mielcza.

Muzyka kościelna rozwijała się więc pomyślnie. W Kra-kowie, Warszawie, Łowiczu i Lublinie powstawały bursy mu-zyczne a biskupi zakładali kapele prywatne.

Krakowska kapela Borantystów nie ustawała w swej działalności. W XVII wieku znalazło się w niej wielu wy-bitnych kompozytorów, jak: Hannibal Orgas, Jan Kromer, Maciej Miśkiewicz, Maciej Łukasiewicz i inni.

Na początku XVII wieku skład instrumentów muzycz-nych w orkiestrach nadwornych i magnackich w Polsce był mniej więcej następujący: regał (mały organ) trąbki, puzony, flety, szałamaje, pomorty (rodzaj fagetu), skrzypce, altówki, wiolonczele, lutnie i klawikordy.

Na dworze Władysława IV, nadzwyczajnego miłośnika muzyki, zwłaszcza opery, wyróżnił się Adam Jarzębski. Ja-rzębski pozostawił nam 28 kompozycji.

Kapela dworska, tak świetnie postawiono za panowania Zygmunta III i Władysława IV, przy Janie Kazimierzu, z po-wodu rozrzutności króla, rozwiązała się.

Świecka muzyka instrumentalna w historii muzyki pol-skiej nie stanowiła czynnika tak ważnego, jak muzyka koś-cielna. Okres wielkich klasyków niemieckich (Bach, Haen-del, Gluck, Haydn, Mozart, Ludwik van Beethoven) minął u nas prawie bez echa, mało kto uprawiał formę sonaty, kwartetu smyczkowego lub symfonji; wobec szerzącego się

w Polsce dyletantyzmu formy te były za trudne. — Polska muzyka instrumentalna odżyła dopiero w dziełach Chopina... i to odrazu, w całej pełni!

Najbardziej wyróżniającymi się kompozytorami z końca XVII w., a dotąd prawie nieznanymi byli:

Maciej Wronowic — Pozostały po nim: „De profundis“ i „Laudate Dominum“ P. Damian, Stanisław Sylwester Szarzyński, który zostawił 16 utworów i ks. Grzegorz Gabriel Gorczycki, którego najcenniejszymi utworami są następujące: „Ave Maria“, „Stabat Mater“, „Sepulto Domino“, msza wielkanocna i adwentowa, „Rorate coeli“, inne msze, motety, hymny, antyfony, introity i t. p. Z naśladowców Gorczyńskiego wyróżnili się: ks. Maciej Zieleniewicz i Wincenty Maksylewicz. — Po nich twórczość muzyczna zamarła w Polsce aż do czasu rozkwitu opery polskiej.

Dalszy ciąg nastąpi.

Zbigniew Stawowy.

Na marginesie artykułu kol. Zielińskiego.

Bardzo się cieszę, że artykuł mój „O typ społecznika“ wywołał taką reakcją, zmusił Kolegów do podzielenia się ze społeczeństwem gimnazjalnem swojemi myślami. Rzecz to w naszym gimnazjum niebywałe, ponieważ wiele było podobnych artykułów, a najczęściej przechodziły bez echa. Ale do rzeczy! Na łamach „Promienia“ kol. Pankanin i kol. Zieliński umieścili swoje artykuły, jako odpowiedź względnie rozszerzenie moich wywodów. Kol. Pankanin tylko rozszerzył niektóre kwestje, powołując się od czasu do czasu na mój artykuł, a kol. Zieliński przeprowadził krytykę mojego artykułu. Obecnie mam zamiar odpowiedzieć i wytłumaczyć pewne rzeczy kol. Zielińskiemu.

Na samym wstępie zaznaczę Koledze, że artykuł mój „O typ społecznika“ jest dyskusyjnym, siłą więc rzeczy musi być w nim dużo niedociągnięć, aby ktoś mógł za coś chwycić czegoś się ułapić. Gdyby było inaczej, nie miałby wogóle Kolega podstawy do pisania swojego artykułu, a tem samem odpowiedź Kolegi i nazwisko nie ukazałaby się na łamach „Promienia.“ Jeszcze jedno muszę Koledze dodać, że artykuł ten był pisany w kwietniu czy w maju ubiegłego roku szkolnego. Gdybym go pisał dziś ukazałby się z pewnością w innej formie!

Na zmianę Kolegi w zupełności się zgadzam. Zaraz na wstępie nie zgadza się Kolega na moje twierdzenie, że „praca społeczna wymaga od swojego pracownika zaparcia się siebie, bezwzględного przekreślenia własnego „ja”. W tym wypadku chodzi o to, kto i jak pojmuje to „ja”. Ja pisząc te słowa, miałem na uwadze niemieszanie spraw osobistych do pracy społecznej. Wyobraźmy sobie, że na zebraniu pewnego kółka ustalają stały termin zebrania. Na jeden wniosek godzą się wszyscy prócz jednego, który oponuje tylko dlatego, że na tą właśnie godzinę wyznaczył sobie swą codzienną przechadzkę. Czyż w podobnym wypadku nie należałoby swojego planu i programu odstąpić, a zgodzić się z wszystkimi?

Pisze Kolega, że na przekreślenie swojego „ja” i wyrzeczenie się zamiarów, poglądów się nie zgadza, bo każdy „musi coś nowego i pożytecznego do społeczeństwa wnieść.” A ja pozostaję przy swoim twierdzeniu. Jeżeli, ktoś wstępuje do pewnej organizacji — to wstępuje do takiej, która jest mu pokrewną n. p. harcerstwo. Jeżeli ja wstępuję do harcerstwa — to wnoszę tylko pracę i zapał, a drogę mam już wytyczoną: urabiać samego siebie i drugich. Ale tę pracę i zapał wnieśli także i inni, a więc ja nic indywidualnego od siebie nie wniosłem. W tym wypadku moim „ja” może być jakiś kierunek polityczny i dążenie do propagowaniu tego, a przecież tego na gruncie pracy harcerskiej propagować mi nie wolno, bo spaczam ideę harcerską, czyli, że na terenie pracy harcerskiej w tym wypadku moje „ja” muszę bezwzględnie przekreślić. Takie jest moje zdanie, Kolega może mieć inne! Jedno jeszcze powiem, że „ja” można pojmować bardzo szeroko.

W kwestji ambicji to już naprawdę Kolega mnie nie zrozumiał. Ja ambicję zdrową bynajmniej nie potępiam, lecz nawet pochwalam. Człowieka pozbawionego ambicji uważam za człowieka pozbawionego zarazem honoru. Nie znoszę tylko i potępiam ambicję wybujałą, „dziką”, jak to przecież w moim artykule zaznaczyłem, nie znoszę „megalomanji”, ani megalomanów tj. ludzi, którzy za dużo o sobie i swej pracy myślą.

Dalej zarzuca mi Kolega, że wyidealizowałem i „wyolbrzymałem” pracę społeczną. Może! Przypomnę tylko Koledze jego referat na zebraniu Sodalicji Marjańskiej z małym dodatkiem: „Nie pamięta...” albo: „Uczył Marcin Marcina. . . .”

Nie zgadza się też Kolega, że praca społeczna wymaga zobojętnienia na wszystko to, co niema nic wspólnego z nią. A jednak tak jest. Na arenie pracy społecznej trzeba myśleć

tylko o tem, co jest z nią zmięszane tak samo jak przy nauce, można myśleć tylko o nauce. Poza nią możemy robić i myśleć o wszystkim innem. Przytacza Kolega przykład o szkole i pracy społecznej, a właściwie trzebaby powiedzieć o szkole i pracy organizacyjnej, bo przecież w szkole uczymy się społem i dążymy społem do osiągnięcia naszego celu. Przykład jest trochę słaby, bo przecież wszyscy bardzo dobrze rozumiemy, że najpierw nauka, a potem prace w organizacjach.

Dalej pisze Kolega, że „przy zrozumieniu” praca społeczne mogłaby się dobrze potoczyć! Prawda! przy zrozumieniu tak, ale gdzież jest to zrozumienie? A chociaż są tacy, którzy rozumieją pracę społeczną — to jednak nie pracują tak, jakby powinni. Gdyby było tak, jak Kolega sądzi — to przecież praca musiałaby być lepszą a jaką jest? Sam Kolega przyzna i wszyscy inni także, że stan pracy w organizacjach jest bardzo niski.

Zdaniem Kolegi wystarczy, „żeby przynajmniej wszyscy przychodzili na zebrania, zabierali głos w dyskusji, płacili składki i uchwalali wnioski. Realizacją zaś ich mógłby się narazie zająć zarząd”... A jak ten zarząd nie lepszy od tych, którzy tylko językiem pracują, to co zrobić???

Możnaby jeszcze więcej na ten temat pisać, ale chyba już nie w tym numerze.

Józef Rajski.

„WESOŁYCH ŚWIĄT”

Składa wszystkim Czytelnikom „PROMIENIA”

Drukarnia Powszechna

J. Bąk & R. Górski

Ostrów Wlkp. ul. Kaliska 31 a.



Boże Narodzenie.

Wybiła północ...
 Gdzieś dzwięczy dzwon
 i w nocną dal,
 srebrzysty ton
 się niesie.
 Wokoło pustka
 cicha,
 głucha,
 wiatr szumi,
 — nikt go nie słucha —
 — Co jest? — Co jest?
 Wokoło pustka głucha.
 W pobliskiej wiosce
 dzwięczy dzwon.
 bo się w stajence
 rodzi O N
 z Marji,
 — Wielki —
 — z Ducha.
 Wybiła północ.
 Ciemność,
 przebija
 blask —
 — to Prawdy brzask...
 już świta.
 I idzie blask
 — wdół —

— wszerez —
— do gwiazd —
i słońce wita.
Zrodził się Bóg
i ziemski próg
przekroczył,
i pierzchnął wróg, —
— co dotąd wiódł, —
— w ciemnościach lud, —
bo przyszedł B O G.

Józef Rajski.

Harcerski krok.

Idziemy żyć,
by służyć
— Polsce.

Idziemy w trud,
by nie znać złud
— w walce.

Idziemy w ból,
by nie gryzł mól
— młodości.

Idziemy w bój,
by poznać znój
— ludzkości.

Idziemy w lud,
by poznać brud
— i mitręgi.

Idziemy w ruch,
by powstał duch
— dla Potęgi.

Hihahi Limpopo.

Przebudzenie.

(Sonet).

Z jasnych rozmodleń, z cudownych majaków,
Gdzie się uczucia rodzą niewymowne,
Gdzie kwiaty płoną jak lampki cudowne
I Senność splywa z nadgwiadziстых szlaków,

Gdzie dusza leży na wznak w niemej ciszy,
Z zapatrzonemi ku górze oczyma,
Dłonie na gwiazdach rozciągnięte trzyma
I wszystkie szmery we wszechświecie słyszy,

Zimny wiew śmierci przebudził mnie nagle. —
Prysnęły cudu wizje i widziadła,
Ciemność ogromne rozpostarła żagle.

I przyczajona, z mrocznego ukrycia,
Jakaś dłoń ciężka na piersi mi spadła...
O! jak się lękam twardej pięści życia!!!

Jerzy Załuczkowski.

Psina.

Na deszczu stoi maleńka,
cicha, skurczona,
a taka miluteńka
psina.

Stoi drżąca,
głodna, płacząca,
biedna, a tak kochająca...

Wtem... Kół ruch...
drży bruk...
— psina...!!!
czuć grób...
— maszyna...!!!
— buch...!!!
Kwik, ryk,
skowyt,
zgrzyt...

Ustał szum maszyny —
zaległa cisza...

Przechodniów odstrasza,
trup niewinnej psiny.

Małeńka,
cicha, skurczona,
a taka miluteńka
leży... psina.

Hihahi Limpopo.

W gwiazdkowym kalejdoskopie.

Godzina siódma. Śnieg prószy, okrywając miasto białym, puszystym całunem. Na ulicach i bruku osiadła pustka. Nie widać nikogo. Cicho... przytulnie... lecz komu? Czy tym, co dziś nie mają dachu nad głową? A więc komu?

Z zakrętu wychylił się jakiś człowiek. Szedł wolno... bezmyślnie, gdzie go oczy niosły. Spuszczony na oczy kapełusz, podniesiony konierz, co go od śniegu chronił, ręce w kieszeni i powolny krok, zdradzał, że mamy do czynienia z człowiekiem biernym, apatycznym, który nie wie dokąd idzie i czego chce. Szedł, patrząc bezmyślnie przed siebie, niczem niewzruszony, posągowy... stinksowy. Nie obchodziło go to, że śnieg pada, że na ulicach pusto, nawet było mu z tem dobrze. Bezmierna pustka, jaka zaległa miasto, odzwierciedlała jego stan wewnętrzny - pustkę duchową. Nie miał nikogo, był jak palec samotny na świecie. Rodziny nie pamiętał, bo mu nikt o rodzicach, ani o rodzeństwie nie mówił, ani ich nigdy nie widział, a opiekun zmarł mu przed kilkoma laty.

Znał dawniej Boga, a dziś? - dziś sam sobie jest bo-
giem. Nihilista.

Zadowolenia w życiu nie znalazł, ani nie znajdzie. Żyje, by żyć! Dziś w tem wielkiem świecie, gdy inni się wesela i radują, on nie odczuwa żadnej radości, prócz bezmiernej, bezdennej pustki i okropnych nudów.

Staął pod domem, w którym (na parterze) jaśniały silnie oświetlone okna. Podszedł do okna i zaczął przyglądać się ludziom poza niem.

Przy fortepianie siedziała osiemnastoletnia może panielka i wertowała nuty. Pod choinką zobaczył dwa rozkoszne dzieciaki, zajęte przeglądaniem otrzymanych prezen-

tów, opodal (przy stoliku) w fotelach siedzieli ojciec i syn, palili papierosy i czemś żywo rozmawiali.

Wtem, z pod palców pianistki, wypłynęła cicho, nieśmiało kolęda: „Wśród nocnej ciszy”. Wiła się melodia kojąca serca... smętna... radosna... cichuteńka. Ojciec z synem zaprzestali rozmowy i zapatrzyli się w jarzące się świeczki na choince i słuchali.

I było im dobrze. Coś wypełniało pokój, coś wiło się po nim, coś biło z każdego przedmiotu, co miało dziwną moc spajania i łączenia serc. Tą siłą - to ciepło rodzinnego ogniska, które topi lody obojętności i rozgrzewa skamieniałe serca, lecz tych tylko, którzy je posiadają.

A co rozgrzeje przechodnia i widza z za szyby?

W wytwornym gabinecie klubowym dr. Franszajta zgromadziło się kółko najbliższych przyjaciół. Była późna pora, krótko przed północą. Panowie po dwóch, po trzech rozproszeni po obszernym gabinecie, rozprawiali stosownie do zainteresowań. Mimo, że wszystkie twarze były pogodne i wszędzie gościło zadowolenie, było jednak w tem zgromadzeniu coś, co nie pozwalało się ludziom odpowiednio nastroić. Nie było u nich zgodnej myśli - harmonji. Nie zdawali sobie jasno sprawy, po co wogóle przyszli do dr. Franszajta, wiedzieli tylko, że ich prosił, że jego piwnica jest bogata i, że nic im nie stało na przeszkodzie. Żadnej treści, żadnej głębszej myśli, nic, prócz niezgłębionej pustki i dążenia do zagłuszenia odgłosów czczości i nudów.

Wniesiono szampana. Zaczęły krążyć kielichy, lecz nastroj pozostał ten sam. Albowiem, jak nie napelni się bezdennego wiadra, tak i bezdennej pustki nie zaleje się kielichem szampana.

Rodzina wstała od wilji. A było ich pięcioro. Ojciec, matka, dwie siostry i brat. Wszyscy już starsi. Najmłodsza, z rodzeństwa, siostra miała siedmnaście lat.

— Haniu - zawołał ojciec - zagrajże nam kolędę. Uroczą szatynka podeszła do pianina i zaraz z klawiszów buchnęła z siłą i mocą pieśń, którą pochwycili inni i zgodnie śpiewali:

Bóg się rodzi, moc truchleje, —

Pan niebiosów obnażony. —

Ogień krzepnie, blask ciemnieje, —

ma granice Nieskończony, —

Wzgardzony okryty chwałą, —
śmiertelny król nad wiekami. —
A słowo ciałem się stało —
i mieszkało między nami.

Ojciec, uzbrojony w potężne wasy, śpiewał z namaszczaniem i przejęciem religijnym, na wzór starej polskiej szlachty, której lubił się zwać „ostatniemi Mohikaninem”. Z zewnętrznej podstawy wyglądał groźnie, ale serce miał złote, tak, że równą miłością wraz z matką był przez dzieci darzony. Dwudziestokilkoletni syn takim darzył ojca szacunkiem, że w pewnych kwestjach udawał się do niego po radę i pomoc.

I tym było dobrze, bo wiedzieli czego chcą, dokąd dążą.

I tak wiła się koleda, po kolędzie, opowiadanie po opowiadaniu, aż do pasterki. A gdy wybiła godzina dwunasta, zabrali się wszyscy i poszli pokłonić się temu, co „w żłobie leży”.

Na drodze, prowadzącej ze stacji Kuluszki, ukazały się sanie z Otoczewa. To młody dziedzic jechał na wakacje świąteczne. W saniach siedział młody przystojny człowiek, otulony w futro i w derę. Myślał. Widział dom rodzinny, rodziców... ukochaną Marylę. Wszystko to na niego czekało, wszyscy go niecierpliwie wyglądali. Był ciekaw, jak też w domu, czy zaszły jakie zmiany, czy dużo gości wybiera się do nich na święta; tyle myśli cisnęło mu się do głowy, że miał zamiar nawet zapytać o pewne rzeczy stangreta - Mikołaja, ale zaniechał, bo nie chciał psuc nastroju, nie chciał rozpraszać tych myśli, które go zewsząd otaczały.

A noc była jasna, księżycowa i niebardzo mroźna tak, że jechał z przyjemnością. A Mikołaj poganiał konie, bo wiedział co się dzieje w duszy młodego panicza i tych, którzy go oczekiwali. Nie żałował koni, wiedząc, że „jaśnie pan dziedzic” nie zburchy go zato, ale pocichu nawet pochwali. Swoim zwyczajem chciał nawiązać z paniczem rozmowę, bo go język śwędził i nijako było jechać, kiej niemowa. Ale cóż, panicz ino milczał i milczał, a jemu niełatwo było pierw rozpocząć. Więc sobie ino pochrząkiwał i odkucywał, a konie popędzał.

Wjechali wreszcie do wioski, na końcu której leżał dwór. Panicz się ocknął, poznając rodzinne progi. Do dworu było jednak jeszcze z półtora kilometra, bo wieś była długa. Rozglądał się więc z ciekawością po chatach, czy kogo znajomego nie zobaczy, ale nie. Wszędzie pusto. Na-

wet psy nie ujadaly, a tylko cicho w budach leżaly. W wszystkich prawie chałupach już wieczierzali, tu i ówdzie tylko stały chaty bez światła w oknach, ponure.

Młody dziedzic odezwał się:

— Mikołaju! A czemu to w tych chatach ciemno?..

— Ano, nie każdego stać nato, by mógł wilję sobie sprawić. A u nas teraz, paniczu, bieda taka, jak i gdzie indziej. Dyc, gdyby mieli przyczem się radować, toby i ciemno nie siedzieli, a tak? Głodnemu i uciecha nie smakuje! A jeszcze markotniej, gdy widzi, jak inny się cieszy i używa, a on nie ma co jeść!

— Czyżby już tak źle było?

— Ano, bieda nikogo nie oszczędza! —

Wjechali w bramę folwarku i wkrótce stanęli przed gankiem. Do sań podszedł ojciec i pomógł synowi wygramolić się z sań. Na progu witała go matka, siostra i narzeczona. Przywitał się z wszystkimi czule, rad, że już w domu i, że wypocznie.

Podano zaraz do stołu. Przy wilji musiał opowiadać najświeższe wiadomości z stolicy oraz swoje przeżycia. Opowiadał barwnie, jędrnie, życiowe.

A po wilji przeszli do salonu, gdzie stała olbrzymia choina, ubrana przez Marylę i siostrę Jerzego. Każdy znalazł dla siebie jakiś upominek pod choiną. A potem usiadła siostra Jerzego przy odbiorniku radjowym i szukała stacyj. Ojciec usiadł przy kominku i otoczywszy się dymem z cygara, oddał się marzeniom o swej młodości. Matka wyszła, by dopilnować przygotowania pokoju sypialnego Jerzego do snu.

A Jerzy z Marylką usiedli sobie w kąci i opowiadali coś z zajęciem przytuleni do siebie. Dołączyła się wnet do nich siostra Jerzego i tak we troje gwarzyli o bliskim ślubie zakochanych, który miał się odbyć w karnawale.

A na falach eteru płynęły do nich kolędy jedne po drugich. „Dzisiaj w Betlejem”..., „W żłobie leży”..., „Narodził się Jezus Chrystus”....

Późno w nocy poszli spać zadowoleni z siebie i szczęśliwi, bo Bóg pozwolił im pomyślnie spędzić wigilię Bożego Narodzenia, bez kłopotów, bez trosk, a zato w radosnym nastroju.

Pasterka. Wybiła godzina dwunasta. Ksiądz wszedł na ambonę.

Najmilsi w Chrystusie bracia! Przeszło dziewiętnaście stuleci minęło, przeszło dziewiętnaście wieków temu, jak w ubogiej stajence betlejemskiej przyszła na świat Dziecina Boża, Mesjasz, Stwórca i Odkupiciel. Minęło wiele lat, przeszło wiele dynastyj, upadło, a nawet niszczało to, co wydawało się być niezniszczalnym. Zań czasu naruszył i zerwał wiele pieczęci ludzkich, wiele pogrzebał teoryj i prądów, wiarę jednak w Jezusa Chrystusa zostawił nietkniętą. Oto dowód niewzruszoności prawd i zasad naszej wiary.

I my dziś obchodzimy pamiątkę tych Boskich Narodzin. Przed dziewiętnastu wiekami przyszło na świat Słowo Boże, Prawda, wcielona w człowieczeństwo Jezusa. Przyjściem swoim wybawił nas Chrystus z niewoli szatana, wskazał nam cel życia, uświęcił nasze ogniska domowe, dał nam radość i zadowolenie wewnętrzne. Miejsce ciemności zajęła Światłość, miejsce fałszu i obłudy — Prawda, miejsce pustki i nicości — radość z życia, radość z odnalezienia i poznania właściwej drogi życiowej oraz radość z czynienia bliźnim dobrego. Chrystus przyniósł ze sobą miłość i miłosierdzie. Idea i wiara jego jest zarówno dla biednych i bogatych, dobrych i grzesznych. . .

A potem śpiewali ludzie wesoło i radośnie kolędę za kolędą, bo się Bóg narodził, co otarł biednym łzy, zagoił cierpiącym rany, nieszczęśliwym dał ukojenie i miłość, a wszystkim samego siebie.

Józef Rajski.

W i l j a.

Henryk często słyszał jak jego koledzy już kilka tygodni przed gwiazdką rozmawiali o Wilji i widział jak bardzo się na nią cieszyli. W takich wypadkach ogarniał go na krótko głęboki smutek, lecz potem drwił sobie z kolegów, nazywając ich „dzieciakami”. On nie znał gwiazdki, której u niego w domu nie obchodzono. Nie znał nawet Boga ani religji. Niewierzący rodzice już od najwcześniejszych lat wpajali weń nienawiść do wszystkiego, co wiązało się z religją i Bogiem, zatruwając mu duszę. Teraz już miał 14 lat, a nie wiedział nawet co to Bóg, bo rodzice nie pozwalali mu uczęszczać na lekcję religji. Często obrażał uczucia religijno-ko-

legów, wskutek czego ci stronili od niego i żaden z nich bliżej z nim nie obcował.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, a wraz z niemi wakacje. Im bardziej koledzy się cieszyli, tem więcej niezadowolonym i zgryźliwym stawał się Henryk. I nadszedł wreszcie ostatni dzień nauki. Radość chłopców nie miała granic tak bardzo cieszyli się na gwiazdkę. A dusza Henryka nappełniała się to goryczą i rozpaczą, to znowu uczuciem złości i nienawiści. A kiedy na ostatniej lekcji koledzy wraz z opiekunem klasy dzielili się opłatkiem, on stał w swej ławce ponury i zły, a opłatka przyjąć nie chciał. Uśmiechnął się boleśnie nauczyciel i zmieszali się koledzy. Spozrzegł to Henryk i złość spotęgowała się. Po lekcjach wyleciał ze szkoły, jakby w gorączce i jak szalony popędził do domu, gdzie miał znowu usłyszeć nic więcej jak drwiny z religii i Boga, przekleństwa i t. p.....

Kiedy nadeszła wilja i we wszystkich domach panowała spokojna radość, Henryk siedział samotny w jednym z pokojów mieszkania swych rodziców.

W pokoju mieszkalnym ojciec jego bawił się z kilkoma kolegami, grając w karty i pijąc. Czasami do uszu Henryka dolatywały odgłosy kłótni i przekleństw nawpół pijanych graczy. Wszystko to nappełniało go odrazą i niechęcią do ojca. Był jakiś smutny i przygnębiony. Na twarzy jego malował się ból i jakby rozpacz. Czoło miał rozpalone i gorące. Nagle zerwał się, podszedł do okna i przycisnął czoło do zimnej szyby. Spojrzał na ulicę. Była zupełnie pusta. Śnieg padał gęsto i nieustannie. Wzrok Henryka padł na okno przeciwległej kamienicy. Poza firanami ujrzał ustrojoną choinkę, a naokoło niej zgromadzoną rodzinę, szczęśliwą i spokojną. Gorączkowym ruchem otworzył okno i wychylił się, wpatrując się w ten prześliczny obraz rodzinnego szczęścia. „Kto im daje to szczęście?” zapytał się z rozpaczą Henryk, „dlaczego ja nie mogę być szczęśliwym jak oni!?”. Wtedy do jego uszu doleciały ciche dźwięki kolendy :

„Wśród nocnej ciszy,
Głos się rozchodzi,
Wstańcie pasterze,
Bóg się wam rodzi.....

Dalszych słów już nie słyszał, bo w przyległym pokoju podpici gracze rozpoczęli bójkę zamiast słów kolendy posypał się potok przekleństw. Wkrótce się jednak wszystko uspokoiło, a Henryk patrzył i słuchał dalej, zupełnie odurzony.

Nie wiedział co się z nim działo. Wtedy otworzyły się poci-
chutku drzwi i do pokoju wsunęła się cicho jego dziesięcio-
letnia siostrzyczka. Kiedy zobaczyła zadumanego brata przy
oknie, podeszła do niego i stanawszy za nim, poszła za je-
go wzrokiem. To, co ujrzała zdziwiło ją bardzo. Nie umiejac
sobie wytłumaczyć sama, traciła lekko brata. Henryk,
który wogóle nie zauważył siostrzyczki, ocknął się jakby zbu-
dzony ze snu i spojrzal zdziwiony na nią.

„Co oni tam robią, Heniu?” zapytała.

„Obchodzą wilję Bożego Narodzenia”, odpowiedział kró-
tko, usiłując uśmiechnąć się lekceważaco.

„A czy to tylko oni obchodzą tę wilję?”

„Nie tylko oni, lecz wszystkie rodziny”.

„A dlaczego my nie obchodzimy?”

Na to już Henryk nie umiał odpowiedzieć. Sam tego nie
wiedział. Przypomniał sobie radość kolegów, ostatnią lekcję
przed wakacjami i dzielenie się opłatkiem. Ach jak bardzo
w tej chwili zapragnął być wraz z rodzicami i siostrzyczką
takim szczęśliwym jak i oni.

„A dlaczego nie obchodzą wilji, dlaczego nie są szczęśli-
wymi!?” Te pytania dręczyły go nielitościwie, bo odpowie-
dziec sobie na nie umiał.

To uczucie, że jest gorszym od innych, takim którym
gardzą inni, omijając go, rozgorszyło go do głębi i ogarnęła
go rozpacz. Siostrzyczka, daremnie czekając odpowiedzi, spo-
strzegła, że Henryk w tej chwili bardzo cierpi. Zrzuciła więc
swoje rączki na jego szyję, chcąc go pocieszyć. Lecz on od-
sunął ją szorstko i skoczył do pokoju, gdzie znajdował się
ojciec. Zdziwił się ojciec, gdy Henryk z rozpalonem czołem
i zaczerwienionemi policzkami stanął przed nim i wyksztusił
głosem oburzenia i wyrzutu: „Ojczy dlaczego my nie obcho-
dzimy wilji tak jak inni”? W pierwszej chwili oniemiał, lecz
potem wybuchnąwszy brutalnym śmiechem, zaklął siarczyście
i zawołał ochryplym głosem: „Patrzcie! Wilji mu się zach-
ciewa. Ha! ha! ha! Wyoń mi się stąd smarkaczu!” Zaśmia-
li się ochryple pozostali gracze. Henryk stanął jak wryty, po-
tem zerwał się wybiegł na korytarz i schwyciwszy płaszcz
i czapkę, jak szalony wypadł na ulicę.

Właśnie dzwony uroczyście wzywały wiernych na pa-
sterkę, a ulice poczęły się powoli zapełniać ludźmi, spieszą-
cymi do kościoła. A Henryk pędził naprzód i wymijał innych,
nie wiedząc co się z nim działo, a w wszak dźwięczały mu

to słowa kolendy, to przekleństwo, to pytania siostrzyczki, a wreszcie ostatnie słowa ojca.

Sam nie wiedział jak znalazł się pod kościołem, a potem, porwany przez tłum innych, w kościele przed stajenką. Nie był tu jeszcze nigdy. Wchodząc zupełnie machinalnie zdjął czapkę. Kiedy obok innych ukląkł przed stajenką uczył, że mu tu dobrze. Nie umiał sobie jednak wytłumaczyć, dlaczego się teraz czuł taki szczęśliwym i spokojnym, właśnie w kościele, którego przedtem tak nienawidził. Przez całą pasterkę klęczał uszczęśliwiony przed stajenką, a nawet gdy kościół się opróżnił, on wciąż jeszcze klęczał. Chociaż nic nie wiedział o religji i o Bogu oprócz oszczerstw, usłyszanych w domu, zrozumiał, że znalazł to, czego szukał, to, co jego kolegom i owej rodzinie przy choince dawało tak wielkie szczęście i radość. I znowu przypomniał sobie słowa kolendy :

Wśród nocnej ciszy,
Głos się rozchodzi,
Wstańcie pasterze,
Bóg się wam rodzi.....

Teraz dopiero zrozumiał, że tem czemś jest Bóg, i że tylko On może mu dać szczęście, radość i spokój. Poraz pierwszy opanowało go wzruszenie, w oczach stanęły mu łzy żalu, radości i niezmiernego szczęścia, i podczas gdy inni otzymywali od rodziców podarki, on otrzymał dar największy od samego Boskiego Dzieciątka dar wiary i miłości Bożej.

Esjot kl. V.

Dział krytyczny

(pod redakcją Dżu - ja)

Dopiero w obecnym numerze możemy umieścić „Dział krytyczny” gdyż w ubiegłym nawet na ten dział nie mogliśmy znaleźć miejsce. A więc ad rem ! (jak to „niektórzy” koledzy mówią !)

Kol. Pankanin : „Skarga” odniósł Kolega niemały sukces — winiszuję ! „My” .. później, „Jesień” — już nieaktualna.

Kol. Załuczkowski : „Zaduszny dzień” dobry tak samo jak i „Jesień”, szkoda tylko, że nie mogłem umieścić w zeszłym numerze, ale naprawdę „nie szło” ! A więc w tece, bo dziś już nieaktualne.

- Kol. Rud. Mich.: „Śladem bohaterów” i „Myśli” słabe, ale już lepiej. „Budowa, dziwaczna forma, treść”. (R. O.) Proszę przypatrywać się pilnie formie wierszyków drukowanych i wyciągnąć jakiś pożytek. Co do treści, czy kolega nie zna innych tematów? Tak ich dużo!
- Kol. „Kape”: „Katedra Wawelska” — niezdecydowanie w formie i treści (R. O.) Trzeba się na coś zgodzić i zdecydować, albo na poezję, albo na prozę, ale rymować prozę? „Jesień — Zaduszki” także już dziś nieaktualne. Proszę dalej próbować!
- Kol. „Grzela”: „Marzenia w Dzień Zaduszny” — nieudolne (R. O.) Szwankuje jeszcze rymowanie. „Bóg - Dziecię” — słabe, uważać wciąż trzeba, by rym był dostosowany do treści, a nie odwrotnie. Kolega młody, nie zniechęcać się!
- Kol. Szymoniak: „Wyprawa narciarska” i „Dzień Zaduszny” — niezły. Jedno już nieaktualne, a drugie może później. Proszę bardzo dużo czytać i pisać wprost „pożerać” książki.
- Kol. „O’Harri”: „Kocham” i „Idą duchy” — gdyby tłumaczenie — to tak, ale tak — to nie! Rym i iloczasy, zwłaszcza to ostatnie! Dużo pisać!
- Kol. Zieliński: „Praca społeczna — społecznik”, idzie w bieżącym numerze. Odpowiedź daje Koledze zaczepiony.
- Kol. Nowak St.: „Trutnie żyć niewarci” — pójdzie później, dobrze? Tak mało mamy teraz miejsca.
- Kol. Hihahi Limpopo: „Mój wróg” — że też Kolega zaraz na początku swej „karjery poetyckiej” musi wydawać swojego wroga. „Psina” — to naprawdę biedna, ale ładna. Nowelka później.
- Kol. P. Z. L. 1.: „Eskadra śmierci” — później.
- Kol. Hihahi Limpopo: „Harcerski Krok” żwawy, dobrze wypowiedziana myśl, lecz czy szczere? Nie wyglądacie Kolego, na takiego „wczutego” miłośnika muzyki. „Słabe” (R. O.)
- Kol. Litley Boy: „Dola sieroca” — uczucia dużo, ale forma kalwaryska (R. P.) Proszę pracować, a napewno będzie coś.

Z obecnym numerem kończę moją karierę na łamach „Promienia” dziękując wszystkim za współpracę.

K R O N I K A

Dnia 6, 7 i 8 października obchodził Gimnazjalny Klub Sportowy „Venetia” swój jubileusz 25-lecia pracy sportowej. Rozgrywki trwały przez wyżej wymienione dni. W ogólnej punktacji „Venetia” otrzymała I. miejsce uzyskując 121 punktów — III. miejsce Kalisz 113¹/₂ punktów i II. miejsce Rydzyna 118¹/₂ punktów. W niedzielę 8 października odbyło się uroczyste nabożeństwo, w którym wzięli udział zawodnicy i goście — „weneccjusze”. A o godzinie 12-tej na akademii prze-

mawiał pan Dyrektor, pułkownik Glabisz i prezes „Venetii” T. Mertka. Szczególnie przemówienie pułk. Glabisza odznaczało się żywnością i barwnością. Prelegent z werwą i z życiem przedstawił nam początki i rozwój „Venetii” aż do roku 1915-go.

Byli członkowie „Venetii” przybyli z zamiarem rozegrania meczu piłki nożnej z obecnym pokoleniem miłośników tej gałęzi sportu. Do tego jednak nie doszło z powodu braku czasu.

Biorąc rzecz ogółem można powiedzieć, że jubileusz „wypadł” dobrze.

— O —

Dnia 21 i 22-go odbyła się uroczysta akademja ku czci 250 rocznicy zwycięstwa Jana Sobieskiego pod Wiedniem. Urządziła ją „Straż Przednia” naszego gimnazjum. Odegrano także sztukę p. t.: Jan III. Sobieski kompozycji p. prof. dr. J. Jachimka, który ją także reżyserował.

— O —

28 ubiegłego miesiąca wyjechały dwie grupy kolegów: jedna z koszykówką, siatkówką, tenisem i piłką nożną do Wągrówca, a druga do Poznania na zjazd T. T. Z-tu. Obie grupy wróciły zadowolone.

Tegoż samego dnia odbyła się akademja czeska w Strzelnicy Miejskiej, której celem było dokonania zbliżenia czesko-polskiego.

— O —

2 b. m. ks. prof. harc. Lech Ziemiński obchodził 20-lecie pracy harcerskiej. Z tej okazji Gromada Starszych Harcerzy (G. S. H.) wydała „Jednodniówkę”, w której została skreślona historia harcerstwa ostrowskiego i pracy ks. Jubilate. Z tej samej okazji G. S. H. w niedzielę 5 b. m. o godzinie 6-tej urządziło „Wieczornicę harcerską”, na której w zamkniętym kole uczczono zasługi ks. prof. Ziemińskiego.

— O —

W wyniku konkursu ogłoszonego przez L. O. P. P. pierwszą nagrodę otrzymał kol. Ożegowski, drugą Rajski.

— O —

Uroczystości jubileuszowe z racji 25 - lecia istnienia „Venetii”.

Punktem kulminacyjnym uroczystości jubileuszowych „Venetii” była akademja w auli Gimnazjum o godz. 12 - tej. Poprzedziła ją msza święta, odprawiona na intencję Organizacji przez Ks. prof. Ziemskiego. W akademji wzięli udział reprezentanci władz państwowych, miejskich, szkolnych, kościelnych, wojskowych, delegacje klubów sportowych, liczni goście i młodzież gimnazjalna.

Zagał ją imieniem Komitetu Jubileuszowego p. Józef Mertka, witając p. dyr. gimn. Czechowskiego, p. pułk. Głabisza, przewodniczącego Polskiego Komitetu Olimpijskiego, p. star. dr. Ekkerta, p. burm. Cegiełkę, p. pułk. Walczaka, dowódcę 60 pułku piechoty, grono profesorskie, delegatów bratnich stowarzyszeń sportowych, gości i młodzież. Podkreśliwszy ważność obchodzonej uroczystości, złożył gorące podziękowanie władzom i tym wszystkim, którzy w organizacji jubileuszu współdziałali, podnosząc specjalne zasługi w tym względzie p. dyr. gimn. Czechowskiego, p. przewodniczącego Pow. Kom. W. F. i P. W. star. dr. Ekkerta i p. pułk. Walczaka. Następnie wezwał obecnych do uczczenia przez powstanie zmarłych członków a mianowicie: śp. I. Ciężyńskiego, A. Marczewskiego, St. Mierzejewskiego, W. Konarskiego, Góreckiego, Urbaniaka, Bartkowiaka, Kowalczyka, Martena, Koniecznego, Szewca, Kamińskiego, Płończaka i Szarzyńskiego. W końcu wygłosił przemówienie powitalne.

Po nim zabrał głos p. dyr. gimn. Czechowski, który podkreślił obecną działalność „Venetii”, jej niewątpliwie zasługi około obrony interesów jej młodzieży polskiej gimnazjalnej i jej znaczenie na tle historii gimnazjum.

P. pułk. Głabisz, jeden z twórców Koła, podzielił się z obecnymi niezmiernie ciekawymi wiadomościami dotyczącymi dziejów prahistorycznych „Venetii”.

Obecny prezes Towarzystwa, Kol. Tadeusz Mertka, przedstawił w swym przemówieniu wskrzeszenie „Venetii” w 1921 r. i dał krótki pogląd na jej pracę i politykę sportową.

Okolicznościowo przemówił jeszcze p. A. J. Piechocki, b. prezes Koła, poczem jako ostatni wygłosił przemówienie pan starosta dr. Ekkert, w którym wyraził słowa podziwu i uznania dla ducha patrijotycznego Jubilatki i złożył jak najlepsze życzenia na przyszłość.

Akademję zakończył uroczysty moment wręczenia dy-

plomów honorowych tym wszystkim członkom, którzy dobrze zasłużyli się około Organizacji. Aktu wręczenia imieniem zarządu „Venetii” dokonał jej prezes, kol. Tadeusz Mertka.

Dyplom prezesa honorowego Koła w dowód specjalnych zasług otrzymał p. pułkownik Kazimierz Glabisz. Dyplomy członków honorowych otrzymali pp. :

Prezes honorowy :

Płk. dypl. Kazimierz Glabisz

Członkowie honorowi :

- | | |
|--------------------------------|--------------------------------|
| 1. Brykczyński Roman | 22. Mierzwiak Jan |
| 2. śp. Ciążyński Ignacy | 23. Mierzwiak Władysław |
| 3. Mjr. Chylewski Jan | 24. Dr. Mikołajczyk Tomasz |
| 4. Prof. Chrzanowski Bogdan | 25. Moskau Antoni |
| 5. Czarnecki Władysław | 26. Mrówczyński Bogdan |
| 6. Mjr. Domagała Tadeusz | 27. Ofierzyński Konrad |
| 7. Domagała Wojciech | 28. Mgr. Piechocki Albin Jacek |
| 8. Mec. Ertel Tadeusz | 29. Sędzia Pieczyński Józef |
| 9. Płk. Ertel Zygmunt | 30. Inż. Piliński Kazimierz |
| 10. Dr. Graffstein Włodzimierz | 31. Mec. Podejma Franciszek |
| 11. Dyr. Gimn. Irzabek Zygm. | 32. Prauziński Leon |
| 12. Jankowski Florjan | 33. Dr. Remelski Franciszek |
| 13. Mar. Kałwiński Kazimierz | 34. Mec. Scheitza Józef |
| 14. Karasiński Tadeusz | 35. Prof. Stankowski Antoni |
| 15. śp. Konarski Wacław | 36. Strzelczyk Marjan |
| 16. Kucharczyk Leon | 37. Dr. Szmaj Stefan |
| 17. Mec. Kwiatkowski Franc. | 38. Talarczyk Roman |
| 18. Laskowski Zbigniew | 39. Mec. Wierusz Ignacy |
| 19. śp. Marczewski Aleksy | 40. Mec. Winkowski Henryk |
| 20. Mertka Józef | 41. Zydorowicz Feliks |
| 21. śp. Mierzejewski Stefan | 42. Ks. prof. Ziemiński Lech |

Podniosłą uroczystość zamknął p. Józef Mertka trzykrotnym okrzykiem na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej i ostrowskiej „Alma Mater”.

G. K. S. „Venetia”.

Życie organizacyjne

Sekcja Eucharystyczno - misyjna.

Dnia 9. XI, 33 r. o godz. 3-ciej odbyło się trzecie z kolei zebranie kółka Eucharystyczno - misyjnego. Po odczytaniu sprawozdania z ostatniego zebrania kol. Wileński odczytał referat p. t. „Eucharystja w życiu św. Stanisława Kostki”. Dyskusja nad powyższym referatem słabo się rozwinęła. Po zamknięciu dyskusji kol. prezes odczytał ustęp z Cyklu misyjnego pt. „Polska misja zagranicą”. W wolnych głosach uchwalono wysłać na misje 2 zł. Następnie kol. prezes zamknął zebranie trwające 50' hasłem i modlitwą. Na zebraniu było obecnych 10 nieob. 3 uspraw. oraz 1 gość.

Sprawozdanie Sodalicji Marjańskiej.

Dnia 27. X, 33 r. o godzinie 15-tej odbyło się w Świelicy miesięczne zebranie Sodalicji Marjańskiej. Na wstępie odpowiedział ks. Moderator na pytanie nadesłane do Skrzynki sodalicijnej. Po sprawdzeniu obecności odczytał kol. Fr. Zieliński referat: „Sodalisa a szkoła”, nad którym rozwinęła się ożywiona dyskusja. Zebranie trwało 70 minut. Obecnych 80 proc.

Dnia 17 listopada br. odbyło się miesięczne zebranie Sodalicji Marjańskiej, na którym kol. abit Andrzej Zborowski wygłosił referat p. t. Św. Stanisław Kostka wzorem dla nas. Dyskusja rozwinęła się.

Redaktor ma głos.

Po raz pierwszy i po raz ostatni zarazem odzywam się na tem miejscu. Po raz pierwszy, bo dopiero w obecnym numerze znalazło się trochę miejsca dla redaktora, (co jest nieomylnym znakiem, że poziom „Promienia” coraz bardziej się podnosi, mimo protestów i zaprzeczeń niektórych kolegów, którzyby „Promień” najchętniej widzieli pod swojemi stopami!!!) a po raz ostatni, ponieważ „zmierzch” mej kadencji już się zbliża.

No ale dość na tem. Obecnie kilka komunikatów. Otóż w tych dniach redaktor „Kącika Harcerskiego”, — „Wielki Wąż”, złożył na moje ręce ustną prośbę o zwolnienie go z jego obowiązków i wycofanie „Kącika Harcerskiego”. Prośbę swą, redaktor wyżej wymienionego działu, umotywował nawalem pracy. Prośbę uwzględniłem, dymisji udzieliłem i już z obecnego numeru „Kącik Harcerski” wycofałem.

Udzieliłem także dymisji redakt. „Działu krytycznego” — „Dzu-jowi”. Obecnie czuję się zobowiązany podzięk. kol. kol.: Serwańskiemu, Bielskiemu, Zielińskiemu, Pankaninowi, Szwabie, Zborowskiemu, Żaluczkowskiemu, Pieczyńskiemu, Stawowemu, Szymoniakowi i Michalikowi R. za współpracę z mną, za to, że okazali tyle zrozumienia dla mozolnej i żmudnej pracy redagowania „Promienia”.

A przyszłemu naczelnemu redaktorowi życzę, by był wprost zasypywany artykułami, by się niemi dusił i dławił, by z pod góry tychże nie mógł się wygrzebać. Niech „Promień” pozyskuje coraz większą sławę i uznanie, niech ma setki i tysiące czytelników i czytelniczek i niech poziom jego z miesiąca na miesiąc stale się podnosi, by mógł kiedyś osiągnąć szczytów ideału piśmiennictwa młodzieży, tak upragnionych przez wszystkich dotychczasowych redaktorów.

Józef Rajski
Redaktor naczelny.

T R E Ś Ć nr. 4.

1. Gwiazdka.
2. Prahistorja Gimnazjalnego Koła Sportowego „Venetia“.
3. Praca społeczna— społecznik.
4. Historia muzyki polskiej.
5. Na marginesie artykułu kol. Zielińskiego.
6. Boże Narodzenie.
7. Harcerski krok.
8. Przebudzenie.
9. Psina.
10. W gwiazdkowym kalejdoskopie.
11. Wilja.
12. Dział krytyczny.
13. Kronika.
14. Uroczystości jubileuszowe z racji 25-lecia istnienia „Venetii“.
15. Życie organizacyjne.
16. Redaktor ma głos.

DRUKARNIA POWSZECHNA

J. BAŁ & R. GORSKI

Kaliska 31 a OSTRÓW Wlkp. Kaliska 31 a

Wykonuję wszelkie druki jak :

broszury, afisze, ulotki, formularze,
zaproszenia, bilety wizytowe, ko-
perty, listowniki, rachunki, legity-
macje, wszelkie druki handlowe,
- - kupieckie i dla urzędów - -

Wykonuje się druki wielokolorowe.

Dostawa szybka! — Wykonanie solidne!

— — Ceny niskie! — —

Zakład Malarcki

Artystyczno-Dekoracyjny

Wykonuję:
wzszelkie prace
w zakres malarstwa
wchodzące.

Rzepa Sylwester Ostrów-Krępa
ul. Grabowska 11a.